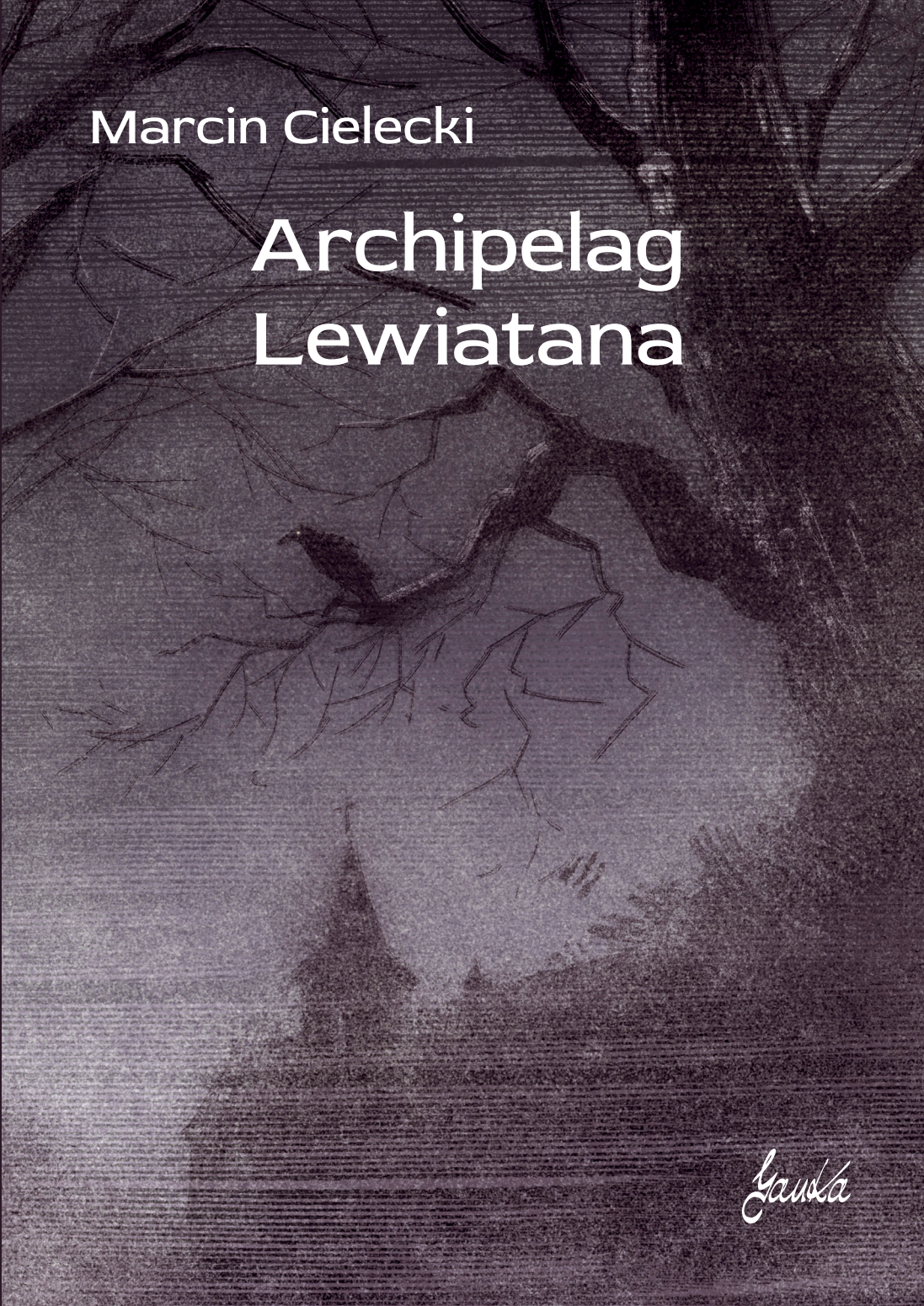




Marcin Cielecki

Archipelag Lewiatana

Gaucka

Archipelag Lewiatana



Marcin Cielecki

Urodzony w 1979, poeta i eseista. Autor zbioru esejów *Miasto wewnętrzne* (2015) oraz książek poetyckich - *Ostatnie Królestwo* (2010) i *Czas przycinania winnic* (2002). Nominowany do Wawrzynu Literackiej Nagrody Warmii i Mazur 2015. Uczestnik warsztatów pisarskich w Arktyce zorganizowanych przez Fundację Identitas oraz laureat Nagrody Specjalnej Fundacji Identitas (2020). Mieszka w Olsztynie.

Marcin Cielecki

**Archipelag
Lewiatana**

Lauka
2020

[Kup książkę](#)

Copyright © Marcin Cielecki, 2020
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2020

Wydanie I [cyfrowe – fragment]
Pruszków 2020

ISBN 978-83-62247-75-2

[Kup książkę](#)

Mirze, z miłością

[Kup książkę](#)

Prawdziwych miejscowości nie zaznacza się na mapach.

Herman Melville, *Moby Dick*

[Kup książkę](#)

Spis treści

<i>Invitatorium.</i> Piątek	10
<i>Matutinum.</i> Sobota	18
<i>Laudes.</i> Niedziela	37
<i>Benedictus.</i> Poniedziałek	47
<i>Prima.</i> Wtorek	77
<i>Tertia.</i> Środa	116
<i>Sexta.</i> Czwartek	154
<i>Nona.</i> Piątek	196
<i>Vesperae.</i> Sobota	243
<i>Magnificat.</i> Niedziela	286
<i>Officium defunctorum.</i> Oficjum za zmarłych	347
<i>Completerium.</i> Z niedzieli na poniedziałek	370
<i>Nunc dimittis.</i> Poniedziałek	387

Nota:

Liturgia godzin przechodziła liczne reformy na przestrzeni dziejów. Choć starano się zachować kolejność, podążając za brewiarzem, rozdziały nie stanowią jego idealnego powtórzenia. Autor zdecydował się pewne części podkreślić, inne zaś pominąć.

Invitatorium – wezwanie, zaproszenie; formuła, od której rozpoczyna się liturgia godzin

Matutinum – godzina czytań

Laudes – jutrznia

Benedictus – Pieśń Zachariasza, wchodząca w skład jutrzni

Prima – modlitwy poranne

Tertia – modlitwy przedpołudniowe

Sexta – modlitwy południowe

Nona – modlitwy popołudniowe

Vesperae – nieszpory

Magnificat – Pieśń Maryi, wchodząca w skład nieszporów

Officium defunctorum – oficjum za zmarłych

Completorium – kompleta

Nunc dimittis – Kantykt Symeona, wchodzący w skład komplety

Invitatorium. Piątek

Chłopak od ulotek nie spóźnił się. 8:20, za pół godziny przyjdzie listonosz. Wszystko zgodnie z planem. Zatem nie ma odwrotu.

Nasłuchuje. Dźwięki znajome, tylekroć słyszane. Sygnał otwieranych domofonem drzwi. Klekot skrzynek na listy. Jeszcze trzaśnięcie. O, jest. Któryś z sąsiadów doczłapał do domofonu i dotyka przycisku. Teraz dłuższa chwila ciszy – wyobraża sobie, że jest ona potrzebna chłopakowi, aby zarzucić plecak wypełniony ulotkami – i nagłe uderzenie drzwi. Wyszedł. Klatka schodowa wchłania milknące odgłosy, powraca poranna cisza.

Odwraca się od drzwi i patrzy w głąb swego mieszkania. Torba leży nieopodal, dwa kroki od niego.

Zrób to.

Przerzuca torbę przez ramię, odruchowo poprawia pasek, by klamerka nie wpijała mu się w ciało. Zamyka drzwi od mieszkania i schodzi z drugiego piętra. Ciało wprawione w ruch zaczyna drżeć, niepotrzebnie. Zaciska pięść, raz i drugi, zanim wyjdzie na zewnątrz.

Po drodze niemal nikogo. Jedna, dwie matki z wózkami. Wyprowadzająca się z wynajmowanego mieszkania studentka, po którą przyjechał ojciec. Pojedyncze osoby z reklamówkami wracające ze sklepu spożywczego. Blokowisko miało swój rytm, znał go. Wiedział, że większość mieszkań jest teraz pusta. Na miejscu

pozostali emeryci, studenci kończyli sesję. Listonosz jest jeszcze, parę bloków dalej.

Nie chce patrzeć na huśtawki. Mija je, odwracając głowę.

Cztery minuty drogi od t e j klatki schodowej. Jest już u celu; niemal, bo musi jeszcze zejść do piwnicy. Nie dostał zadyszki, nie drżą mu ręce, nie ma zawrotów głowy. Cztery minuty wystarczają, by wprawić ciało w przyjemne drganie. Cztery minuty to za mało, by się wycofać.

Zrób to.

Naciąga rękaw kurtki i przez materiał chwyta za klamkę. Drzwi, mimo zainstalowanego domofonu, posłusznie się otwierają. Wiedział, że nikt nie naprawi ułamanego przez niego zawiasu. Wchodzi na klatkę i na chwilę zastyga. Chłonie zapach obcych ludzi, zapach ścian, schodów. Duszno, w powietrzu rozsiadła się stęchlizna. Sprzątaczką przychodzi w czwartki. Listonosz pojawi się tu najwcześniej za pół godziny. Wie, po co przyszedł.

Powoli ściąga kurtkę, nasłuchuje. Sprawdza, jak jego oddech miesza się z powietrzem, temperatura jego ciała z temperaturą klatki schodowej, jego życie z czekającą na dole śmiercią. Z ramienia ściąga torbę, przyklęka nad nią. Do środka wkłada kurtkę złożoną w kostkę, a wyciąga kupione w kiosku przeciwdeszczowe ponczo. Bez pośpiechu, bez opóźniania. Wejść, wyjść, zrobić to. Zakłada rękawiczki. Torba zostaje w rogu przy drzwiach. Wyciąga nóż, schodzi.

W piwnicy jest chłodno. Stara się utrzymać jeden rytm. Jeśli będzie poruszał się za szybko, przeciwdeszczowe ponczo zadziała jak termos i obleje się potem. Jeśli zbyt wolno, ciepło odzienia rozleniwi go w chłodzie piwnicy. Jedno tempo. Odgłosy piwnicy stają się coraz wyraźniejsze. Drzwi są otwarte, światło włączone. Muzyka; rytmiczny, głośny hip-hop. Skandowany tekst jakiegos

macho o tym, jak zerznął panienkę. W tle piosenki stękanie, posapywanie, po chwili wplecione przekleństwo. Sporadycznie odezwie się metal, opuszczany na beton.

Zatrzymuje się na chwilę, by wzrok przyzwyczaił się do światła kilku łysych żarówek. I chociaż wie, co zobaczy, nie może się powstrzymać od uśmiechu: piwnica w blokowisku przypomina zwyczajnie zadbaną stajnię. Jeden korytarz, po bokach małe boksy dla ludzi. Rusza powoli w stronę dwóch otwartych naprzeciw siebie boksów. To tylko sześć długich kroków. Jego ruchy przypominają ruchy człowieka, który ugrzązł w bagnie. Za każdym postawieniem stopy zatrzymuje się, nasłuchuje. Ręce oddalone od tułowia bardziej niż zwykle, żeby tarcie folii o folię nie zdradziło go niepotrzebnym dźwiękiem. Z tego powodu też porusza się raczej środkiem korytarza niż przy ścianie, choć wolałby przylgnąć do niej. Zbliża się do otwartych drzwi. Oddech, rytm. Zastyga w bezruchu. Mógłby tak stać długo, bezruch wydaje się odpoczynkiem, bezruch wydaje się wybawieniem. Zagląda do piwnicznego boksu. W jednym z nich ćwiczy muskularny młody mężczyzna. Na wygolonej głowie nabrzmiewają żyły, gdy podnosi sztangę. Stękanie jest rytmiczne, posapywanie jest rytmiczne, oddech to rzucone przekleństwo. Obserwuje przez chwilę to ciało, tę siłę, to zamknięte w wysiłku piękno.

Zaciska dłoń na rękojeści noża. Nie uważa ćwiczącego na ławeczce za bezbronnego. Kipiące testosteronem ciało nie pozwoli popełnić błędu.

Sztanga łąduje na widelkach, mężczyzna siada na ławeczce. Łśni struna kręgosłupa na pochylonych plecach. Spocony, od-dycha ciężko.

Drugiej szansy nie będzie. Podchodzi szybko – cztery, pięć wystudiowanych kroków – i wbija nóż w nabrzmiałą żyłę.

Muskularny mężczyzna gwałtownie chwyta się za szyję. Odrywa dłoń i patrzy zdziwiony na rozlewającą się po niej czerwień. Ponownie przykładą dłoń do rany. Spomiędzy palców stróżkami ucieka życie. Nabrzmięte po treningu żyły, pobudzone do wysiłku serce nie przestaje szaleńczo pompować krwi. Wstaje z ławeczki i powoli się odwraca.

– Co do kurwy nędzy... – Patrzy na mężczyznę w przeciwnym kierunku. Zdziwienie ustępuje złości, złość przeraża się we wściekłość. Powietrze nasycone potem, testosteronem, dźwiękami muzyki gęstnieje.

– Co do kurwy nędzy... – Słowa szukają zrozumienia. Krew jest na to obojętna. Jedna stróżka spływa w dół, między mięśniami. Kolejne starają się objąć jak najwięcej białego ciała. Twarz coraz bardziej blada kontrastuje z czerwoną dłonią przyciśniętą do szyi.

Mężczyzna z nożem ogarnia wzrokiem całą postać krwawiącego, gotowy na jego ruch. Jeśli trzeba będzie, nóż zrobi jeszcze jeden otwór. I wtedy dostrzega to na jego prawej piersi. Znamień, może jakieś zabrudzenie od sztangi. Przypatruje się, próbuje rozpoznać. Tatuaz. Przypatruje się rysunkowi na ciele. Tatuaz jest nowy. Kilka dni temu jeszcze go nie było. Głowa z pyskiem, spiczaste uszy. Diabeł? Wilk? Pies? Rozpoznaje rysunek: to pitbull. Poznaje tego psa, zabił go tydzień wcześniej.

I wtedy muskularny mężczyzna podnosi wiszącą dotąd nieruchomo rękę, wyciąga ją w jego stronę. Z pięści wysuwa się pojedynczy palec, który celuje w niego. Palec i słowa mówią to samo: To ty!

Oczy krwawiącego robią się coraz większe. A potem zwężają, gdy do zrozumienia dołącza wściekłość. Robi krok w stronę nożownika. Zbyt dziarski, zbyt pewny siebie. Zataczając się, próbuje sięgnąć napastnika. Jeszcze jeden krok, jeszcze jeden. Drugi

bardziej rozpaczliwy od pierwszego. Najpierw pada na kolana. Później na czworaka. Gaśnie, gaśnie coraz szybciej i mężczyzna z nożem nie musi się ruszać. Dzieli ich dwa kroki, powiększająca się kałuża krwi i może wychodząca właśnie teraz z otwartych ust dusza.

(...)

Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym wybiega na klatkę schodową. Jego wzrok napotyka pozostawioną przy drzwiach torbę. Uspokój się, nakazuje sobie. Nic nie słyszy, krew w głowie szumi zbyt głośno. Ściąga ponczo, drżącymi rękoma pakuje je do reklamówki, robi z niej zawiniątko i wkłada do torby. Wrzuca do niej nóż. Zarzuca torbę na ramię. Z ręką na klamce odwraca się w głąb klatki schodowej, nasłuchuje. Cisza. Ale nie ufa sobie. Nie może być spokojny.

Wychodzi z klatki. Idzie, choć adrenalina w udach domaga się biegu. Za wszelką cenę trzymać się planu, do domu wrócić inną drogą, niż przyszedł. Po kilkudziesięciu krokach dociera do studzienki. Klęka na jedno kolano, jakby chciał zawiązać sznurowadło. Torba ląduje obok niego. Rozgląda się. Jacyś ludzie mającą w oddali, ale nie powinni niczego dostrzec. Rozpina torbę, wyjmując nóż. Upuszcza go do studzienki. Wstaje, zarzuca torbę, rusza dalej. Niemal biegnie. Zatrzymuje się dopiero przy kontenerze na ciuchy postawionym przez Caritas. Wcześniej myślał o śmietniku, ale uznał, że to będzie pierwsze miejsce, w którym policja będzie szukać. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zajrzy do kontenera. Wrzuca torbę. Na wszelki wypadek sprawdza, czy dobrze zapamiętał naklejony na kontenerze numer telefonu. „Jeśli jestem pełen, zadzwoń”. Zadzwoń, jak będzie w bezpiecznej odległości.

Między blokami dostrzega samotną sylwetkę listonosza.

Z trudem powstrzymuje się, by nie biec po schodach do swojego mieszkania. Jest dziwnie lekki. Bez torby, bez noża.

Zrobił to.

I nie czuje nic.

W mieszkaniu patrzy na siebie w lustrze. W oczach dostrzega zmęczenie. Na czole kropelki potu. Policzki czerwone od wysiłku. Nieco szybszy oddech. Ręce lekko drżą. Poza tym nic podejrzanego.

Może wrócił z treningu.

Może był na siłowni.

Może wrócił z pracy.

Zerka na przygotowany duży plecak. Nie ma się co wahać. Zrobił to, a więc trzeba doprowadzić rzecz do końca. Wypełnić plan. Nie mógłby teraz pozostać na osiedlu. Wracałby do tamtego bloku, schodziłby do tamtej piwnicy. Za dzień, za dwa. W zamyśleniu, w roztargnieniu. Z powodu tych wszystkich przygotowań. Zdradziłby się.

Wsiada do samochodu. Wyjeżdża z miasta. W radiu tematem dnia są rozpoczynające się wakacje. Redaktorze prowadzącej program trudno ukryć nostalgię w głosie, kiedy mówi o uczniach kończących szkołę. Gdy wyjeżdża z miasta, widzi jeszcze na przystanku grupkę uczniów powiewających świadectwami.

Każdy dostał to, na co zasłużył.

Piątek, ostatni dzień szkoły, pierwszy dzień wakacji.

Słońce wyjrzało zza ciężkich, deszczowych chmur. Jutro nadejdzie fala upałów.

Trup w piwnicy powinien już ostygnąć.

Droga jest kręta, jakby chciała zgubić własny ślad. Zrzucić

przejeżdżających po niej do pobliskiego rowu albo zgubić w lesie. Dookoła porozrzucane domki rodzinne. Odległości między nimi jest tyle, na ile wystarczyło właścicielom pieniędzy. Wie, że musi zwolnić. Nie chce się tu rozbić. Być widowiskiem dla nowobogackich, których stać było na ucieczkę z miasta. Stać się niewidzialnym, to wszystko, czego pragnie.

Taki jest plan.

Za kolejnym zakrętem dostrzega budynek niczym niewielki zamek. Wzniesienie, na którym się znajduje, jest otoczone metalową siatką. Teren wokół niego też. To duża przestrzeń zabawiona sąsiadów. Najbliższe domy są małutkimi punkcikami w krajobrazie. Oprócz siatki zabudowania zdaje się chronić las. I rozległe pola, miejscami przypominające mokradła.

(...)

– Wiesz, gdzie jesteś, prawda? – Ojciec Henryk staje przy ławce, po chwili siada. Plecami oparł się o ścianę, wzrok utkwiał w przestrzeń przed sobą. – To jest klasztor zakonu kontemplacyjnego, ale pewnie nie wiesz, czy jesteś u kamedułów, kartuzów czy cystersów.

Miał go.

Bartek lekko zaciska pięści, kot siedzący na kolanach otwiera jedno oko.

– Zakon karmelitów to bardzo dziwny twór. Wiesz, że Karmel oznacza „ogród”? To dosyć dziwna nazwa, zarówno dla samej góry w Palestynie, jak i dla zakonu. Góra jak to góra – kamienie, pieczary, uskoki skalne – żadna tam roślinność kojarząca się nam z ogrodem. Chodziło zatem o inny ogród, ogród obecności Boga. Oazę. Raj. Dla późniejszego zakonu to nie lada problem. Podczas

gdy inni bracia wskazują w swych nazwach na konkretne miejsca powstania, jak Citeaux, Jerozolima czy Camaldoli, oni wskazują na miejsce, które odsyła do innego miejsca. To tak, jakby na pytanie „skąd jesteś”, odpowiedzieć „stamtąd”. Ale był też inny problem. Zakony nazwy wywodzą albo od miejsca, albo od założyciela, mają swoich Franciszków, Benedyktów, Dominików, a ci nie mają nikogo. Jako swojego założyciela wskazują postać z samego wnętrza Biblii. Postać niepokojącą, niejednoznaczną, która chyba nawet nie umarła. Proroka Eliasza.

Jeśli kiedyś zobaczysz mężczyznę w wozie ciągniętym przez cztery konie wprost do nieba, to właśnie on. Wóz płonie, konie są ogniste, a Eliazs czuje się jak u siebie. Inny obraz to Eliazs siedzący samotnie na pustyni, czasem na tle jaskini. Gdzieś tam znajduje się kruk z kawałkiem chleba – jeśli go zobaczysz, to rozpoznałeś właśnie Eliazsa.

Dziwna postać z tego Eliazsa.

Jeśli myślisz o nim jak o Popiełuszce, Wojtyłe czy Blachnickim, to nie ta kategoria. Raczej musiałbyś przywołać postać szeryfa, samuraja, tego, kto jest sam przeciw wszystkim. Eliazs wierzy w Jedyne Boga, a król, urzędnicy, kapłani, ba, zdaje się, że cały naród wielbi Baala. Wiesz, jak się rozstrzyga takie rzeczy, nie? Pojedynek. Pojedynek na bogów, istny sąd Boży. Na Górze Karmel zgromadzili się prorocy Baala i prorok Jahwe. Przynieśli ze sobą tusze zwierzęce, aby na prośbę wyznawców spadł ogień z nieba i ofiara została przyjęta przez mieszkańca niebios. Finału pewnie się domyślasz: prorokom Baala się nie udało, z pojedyнку zwycięsko wyszedł tylko Eliazs. Ale mało tego, jak już nasz ognisty mąż wykazał wyższość Jedyne Boga, to zabił swych konkurentów. O, przepraszam, Pismo mówi: „wytracił”. Bardzo lubię ten fragment.

Później następuje coś, co przekracza postać samotnego szeryfa i ostatniego samuraja. Elias, ścigany przez siepaczy króla, ucieka. Jest zmęczony, zniechęcony, może nawet przerażony. Ucieka na górę Horeb i chce umrzeć. Szeryf powinien w tym momencie odjeżdżać w stronę zachodzącego słońca z jakąś uratowaną dziewczyną, samuraj właśnie popełnia seppuku. Ale nie Elias. Do załamane go proroka przychodzi Bóg, ale jak przychodzi! Facet ma krew na rękach, ma jakiś swój układ z Bogiem, zatem oczekuje się fajerwerków. I są. Wichura. Trzęsienie ziemi. Ogień. Same mocne rzeczy. Mocne rzeczy, bo mocno się działo. I nic. Boga w tym nie ma. Po tym wszystkim scena milknie, uspokaja się. Pojawia się delikatny powiew wiatru; w tym szmerze dopiero jest Bóg. To kolejna niespodzianka Eliasza: prorok od ognia, od rzezi, spotyka Boga w łagodnym szmerze wiatru. Mam nadzieję, że cię nie nudzę; teraz będzie już skrótowo. Stary Testament opisuje cuda proroka Karmelu. Jest wskreszenie zmarłego, rozmnożenie pokarmów, rozdzielenie wody, no i wreszcie wzięcie do nieba. Elias to wypisz wymaluj Chrystus Starego Testamentu. I w tej gęstej od wydarzeń opowieści pojawia się my, współcześni. Do tej pory były legendy, majaczenia i widzenia, teraz nadchodzą daty, miejsca, fakty.

Jest czas krucjat. Krzyżowcy zdobyli Jerozolimę. Wiesz, jak wygląda zdobywanie miasta? Co robią żołnierze, którzy przez wiele miesięcy idą naprzód i naprzód, w brudzie, syfie i głodzie? Marzą. Marzą, że to wszystko – Henryk wykonuje nieokreślony ruch w powietrzu – będzie ich. Czują, że los się do nich uśmiechnął: teraz mają broń, prawa ludzkie i prawa boskie są na pewien czas wyłączone, mogą zrobić wszystko. Chcę, żebyś to pamiętał: człowiek, który ma broń i który jest na wojnie, choćby to była tylko wojna w jego umyśle, może wszystko. Zresztą, porównaj sobie krzyżowców i krasnoarmiejców, to jedna sucza mać.

Zapewne dużo jest przy tym frazesów, wycierania sobie gęby Bogiem i przypinania błyszczących orderów. Spojrzało na nich oko Boga? Poczuli na ramieniu ciepłą łapę Bestii? Czy przerażeni tym, co zrobili, zapragnęli uratować resztę świata, który znali? Kronikarze o tym nie mówią. Z głównego nurtu krzyżowców co i rusz ktoś odłącza się i przybywa na górę Karmel. Wiele jaskiń umożliwia ukrywanie się. Zrzucają stare ciuchy i dawne imiona i zaczynają być pustelnikami. Na pewno żyją w odosobnieniu, w milczeniu i w ciszy, spotykając się co jakiś czas na Eucharystii. Proszą Boga o przebaczenie. Może o cofnięcie czasu. O to, by dosięgła ich sprawiedliwość. Albo zapomnienie. Albo miłosierdzie. Można to ująć jednym zdaniem: dzień i noc rozmyślają o prawie Pana. Czy znaleźli to, czego szukali? Na pewno zostawiono ich w spokoju. Zwierzchnik Jerozolimy zaczyna nazywać ich świętymi mężami. Zdzicziali ludzie na dzikiej górze, z której podobno było bliżej do Boga.

Upada Jerozolima, upada Edessa i Akka także. Królestwo Jerozolimskie zwija manatki. Krzyżowcy wracają do domu, a wraz z nimi ludzie góry Karmel. Walczą o uznanie ich istnienia. Kto was założył, pytano wszędzie. Co mieli odpowiedzieć? Wstyd? Przerażenie? Zbrodnia? Morderstwo? Wskazują na Eliasza, krwawego, ognistego Eliasza.

Papież zgadza się, niechętnie, bo już się zaczyna monastyczny tłok, na zatwierdzenie nowego zakonu. Karmelici rozpoczynają mozolne określanie własnej tożsamości. Są rozdarci: są pustelnikami z jaskiń, a mają opiekować się parafiami, wołają samotność, ale jednak tworzą wspólnotę, wreszcie muszą rywalizować o jałmużnę z innymi zakonami żebraczymi. Decydują się na trzy wyznaczniki tożsamości: góra Karmel, prorok Eliasza, Matka Boża. Zakon obrał kurs na pielęgnowanie modlitwy kontemplacyjnej,

na przebywanie w duchowym ogrodzie Boga. Wiesz, dlaczego ci to wszystko mówię?

Pięści zaciskają się nieco mocniej, Cyryl odpowiada lekkim wbiciem pazurów w udo.

– Cokolwiek by mówić o mistycyzmie, twierdzy wewnętrznej i kolejnych mieszkaniach duszy, chcę, żebyś pamiętał, że jest to zakon założony przez morderców. Myślę, że powinieneś dobrze się w nim czuć.

Bartek nie odpowiada, czeka. Cyryl zaczyna bić ogonem.

Wiedział.

Miał go.

Okładka:
Adam Walas

Zdjęcie autora:
Łukasz Jakubowski

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-75-2
[fragment]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

[Kup książkę](#)

Mówię o sobie, że jestem śmieciarzem kultury. Wyniesione z biblioteki dostojnych manuskryptów pytania mieszam z tym, co znalazłem w popkulturze, z całą jej fascynacją złem. Styk tych dwóch światów jest moją przestrzenią literacką. Dociekliwym podaję szerokość geograficzną *Archipelagu Lewiatana*: nóż i pióro, a między nimi trochę kłusujących niełatwych pytań.

Marcin Giełuda



Czy jest życie poza zbrodnią i winą? Główny bohater, Bartek Ostrowski, morduje z zimną krwią, a chcąc zatrzyć trop, szuka schronienia w klasztorze; wielowiekowa tradycja głosi, że miejsce monastyczne zapewnia niekaralność. Nie przewidział tylko, że miejsce odosobnienia okaże się zaskakująco gwarne. W relacjach z mieszkańcami klasztoru - tak stałymi, jak i tymczasowymi - zaczyna rozpadać się misterny plan bohatera, a role łowcy i ofiary niebezpiecznie się do siebie zbliżają. Każdy, kto decyduje się „umrzeć dla świata”, skrywa jakąś tajemnicę. Życie pod zakonną regułą, powtarzalność dni i ćwiczeń dyscyplinujących ciało, ten sam krajobraz, milczenie... Kolejne rozdziały, ułożone zgodnie z monastyczną liturgią godzin, prowadzą nieuchronnie do pytania: co się stanie, gdy zło zamieszka w miejscu świętym.



WIEŻ

